

GDY się rozmawia o sprawach Rzeszowszczyzny ze znajomymi z Warszawy, Wrocławia czy Gdańska zaskakuje pewność siebie i swobodę nonszalanca, z jaką nasi rozmówcy wyrażają swoje opinie o nas. To samo zresztą spotyka się w reportażach czy artykułach w prasie na ten sam temat. Opinie te są często błędne, czasem bardzo uproszczone, lecz najczęściej ferowane z niezachwianą wiarą. Okazuje się wtedy, że wszystko u nas jest tak proste, tak mało skomplikowane, iż całe morze naszych problemów sprowadza się do kilku idealnie zastygłych formuł.

Przed wszystkim dla wielu ludzi z zewnątrz Rzeszowszczyzna to Bieszczady, a raczej ściślej mówiąc,

tego korzystało, ale zjawiska te istniały. Nie miało to większego wpływu na poziom warunków materialnych ogółu, ale chyba miało wpływ na rozwój świadomości społecznej, politycznej, a więc i kulturalnej tej ziemi. Świadczą o tym liczne strajki, bunt i długotrwałe burzliwe walki z sanacją, świadczy fakt, iż manifestacja w Nowosielcach jednocząca ruch ludowy w Polsce do walki z ustrojem tu się właśnie odbyła. Preżność kulturalna i samowiedza polityczna wsi rzeszowskiej może budzić podziw. Mimo to często znajdują się jeszcze w obiegu mity o ciemnym i bezradnym kmiotku Polski B — takim jak w twórczości Konopnickiej.

A czyż nie próbowano u nas już w Polsce Ludowej utrwalić formułki o kultuństwie, parafianstwie

Julian Woźniak

„MAŁE SPOTKANIA TEATRALNE”

„Teatry Robotnicze Ludziom Pracy” — pod takim hasłem w dniach od 21 do 26 VI br. siedem najlepszych związkowych teatrów amatorskich naszego województwa uczestniczyło w wojewódzkim przeglądzie. Jest to zresztą impreza organizowana przez WKZZ już po raz trzeci z rzędu. Tym razem, w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych, uczestniczące w przeglądzie zespoły rywalizowały o zaszczyt reprezenta-

nej festiwalowej imprezie dostąpiły też dwa inne zespoły, zespół teatralny Klubu ZZK w Przemyślu i ZDK WSK z Mielca.

Przemyslanie wystąpili z „Trzema prawdami” — Zofii Jaremkopytowskiej, w reżyserii Janiny Górskiej i scenografii Jana Szydełki. Mielczanie natomiast zaprezentowali „Śniadanie, obiad, kolację” Andrzeja Szypulskiego, w reżyserii Elwiry Turskiej i scenografii Ireny Perkowski.

Jakkolwiek spektakl ten opracowany został bardzo starannie, wykonawcy nie poradzili sobie z komediowym charakterem przedstawienia i tempem scenicznych sytuacji. Poczynienie pewnych skrótów też by chyba wyszło sztuce na dobre. Niezbyt pomysłowa była również oprawa scenograficzna.

Zespół teatralny Klubu Górnika Naftowca z Sanoka sięgnął po „Pałac sprawiedliwości” Andrzeja Wydrzyńskiego. Sztukę tę, której

Jan Grygiel

STEREOTYPY, MITY FORMUŁKI...

wszystkie u nas zalesione pasma gór, to góry bieszczadzkie. Dlatego często przyjeźdźni, którzy byli w powiecie brzozowskim lub krośnieńskim opowiadają o egzotyce i pięknie Bieszczadów, a co gorsze czasem tak piszą. Dla nich przedpola tych gór zaczynają się już w Babicy czy w Błażowej. Stąd bierze się tyle bram bieszczadzkich. Bywają często nimi w publikacjach: Rzeszów, Krosno, Brzozów; ostatnio w reportażu w Trybunie Ludu czytałem, że bramą taką jest Przemyśl, no i wreszcie Ustrzyki Dolne. Na ostatnią trzeba się zgodzić, ale pozostałe... Ładną mi bramą Rzeszów, od której do „otwieranego” regionu dzieli nas 100 km lub Przemyśl odległy od Bieszczadów o 60 km.

Te fałszywe wiadomości wynikają nie tylko z braku znajomości geografii. Utrwalamy je czasem tu na miejscu. Podgórskie miasta powiatowe chcą uzyskać pieniądze na inwestycje turystyczne i komunalne szukają gwałtownie uzasadnień. Najłatwiej zaś powołać się na bliskość Bieszczadów i tysięczne rzesze turystów, które przez miasto w związku z tym przepływają. Dlatego wszyscy wykrzykują — jesteśmy punktem wypadowym w Bieszczady, ich bramą, ich przedpolem, musimy więc partycypować w bieszczadzkich inwestycjach. Tak utworzona formułka idzie w Polskę a później odbita wraca do nas.

Okazało się więc, że piękny, ale mały zakątek przesłonił swą popularnością i egzotyką całe województwo. Ten mit „egzotyki” zresztą, stworzony przez niektóre filmy, powieści i reportaże przesłania skutecznie prawdę o życiu i rozwoju gospodarczym na tym terenie.

Bieszczady i jeszcze zagłębie siarkowe, to hasła wywoławcze dla województwa rzeszowskiego i najczęściej nic się więcej o tym terenie nie wie. Ponieważ właśnie w poszukiwaniu tej egzotyki prasa nie szczędzi wiadomości o groźnych watach wilków, o bieszczadzkich niedźwiedziach, przestępstwa przed ryzami i żmijami — zyskujemy sobie w kraju opinię „dzikiego południa”.

Bardziej zorientowani, lepiej znający Rzeszowszczyznę również często posługują się ustalonymi stereotypami. Jeden z zasadniczych schematów myślowych, to przekonanie, że przed wojną dzisiejsze tereny województwa rzeszowskiego były w całości krainą głuszy i prymitywu. Prawda jest nieco inna. Ta ziemia oczywiście nie była podobna do Górnego Śląska, ale nie przypominała również Polesia. Pewnie, że panowała bieda w wielu przedludnych powiatach, było dużo bezrobocia, ogólny poziom życia wzniesza na wsi był niski. Ale było tu sporo dość prężnych miast, jak: Przemyśl, Jasło, Krosno, Sanok, był na Podkarpaciu niewielki przemysł naftowy i kilka średniej wielkości fabryk. Niewielu mieszkańców z

i zacofaniu w stosunku do „Europy” Rzeszowszczyzny? Z przypadkowych faktów, które zdarzyły się parę lat temu (spalenie „cegieł” bibliotecznych, protest grupy nauczycieli przeciw oddziaływaniu środków kultury masowej na młodzież — chodziło o „destrukcyjną” rolę prasy, filmu, teatru, literatury współczesnej — wreszcie zniszczenie dekoracji w jednym z domów kultury przez ludzi z kręgu plebanii) wyciągano w prasie uogólniające wnioski o azylu dla konserwatywności na tym terenie.

A przecież jest oczywiste, że granica między obskurantyzmem a postępowością przebiega inaczej, nie oddziela od siebie poszczególnych części kraju. Zjawiska o tej samej wymowie pojawiły się później w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu. Obrońców i zwolenników memoriału rzeszowskiego więcej spotkałem w Warszawie niż w Rzeszowie. A mit jeszcze pokutuje, wprowadzając gdzieś wstydliwie na uboczu, ale czasem daje o sobie znać. „Bo wy tam w Rzeszowie jesteście staroświeccy i pruderyjni!” — usłyszałem niedawno półzartem wypowiedzianą opinię młodego pisarza. I trzeba dopiero organizować takie imprezy, jak zjazd pisarzy i działaczy związanych z tą ziemią z całego kraju, jak sesja klubu publicystów kulturalnych, by pod naporem faktów ustalony stereotyp powoli zanikał.

Utarła się również opinia, że np. Rzeszów to miasto parweniuszowskie, z awansu, kulturze nieprzyjemne. Jest on podobno ośrodkiem o charakterze typowo-biurokratycznym. Natomiast Przemyśl od dawna uchodzi za gród kulturalny, o dużych ambicjach naukowych i artystycznych, ale również za miasto wypełnione kompleksami i pokrzywdzone przez historię najnowsza. Takie portrety tych miast oglądaliśmy kilka lat temu w reportażach Zbigniewa Kwiatkowskiego w Życiu Literackim, Jerzego Miłkego w Życiu Warszawy, i wielu innych publikacjach. Od tego czasu utarł się ten stereotyp i tego rodzaju sądy wysłuchujemy od naszych rozmówców z Warszawy czy Łodzi.

Może zresztą kiedyś tak było, lecz już od dawna formułka ta się nie sprawdza. Nie wiele jest miast, w których zrobiłoby się tak dużo dla spraw kultury jak ostatnio w Rzeszowie. Otwarto tu niedawno okazały Dom Sztuki z pięknymi salami wystawowymi i pracowniami dla artystów. Zbudowano Szkołę Muzyczną, a wkrótce powstanie sala koncertowa. Pracuje już 3 rok Wyższa Szkoła Pedagogiczna, która wniosła dzięki swej działalności wydatną część i zespołowi ruchliwych humanistów ożywienie w życiu kulturalno-naukowym miasta. Ukazuje się



SCENA Z „KRZYWYCH LUSTER” ZOFII BYSTRZYCKIEJ W WYKONANIU TEATRU MŁODYCH ZDK WSK RZESZÓW.

wania województwa rzeszowskiego w przeglądzie centralnym Festiwalu.

Na scenie Zakładowego Domu Kultury WSK w Rzeszowie wystąpiło więc siedem zespołów wyłonionych w eliminacjach środowiskowych spośród trzydziestu teatrów amatorskich.

Najwyższe uznanie w oczach komisji oceniającej, w skład której wchodził: Irma Gulska — przewodnicząca, Zofia Sieradzka, mgr Jerzy Pleśniarowicz i Wiktor Nowicki — zyskał Teatr Amatorski ZDK Huty „Stalowa Wola”, prezentując spektakl „Kolumbowie rocznik 20” Romana Bratnego, w adaptacji Adama Hanuszkiewicza, reżyserii Józefa Żmudy i scenografii Tadeusza Grabary.

Wysoka ocena i zakwalifikowanie stalowowskiego zespołu do przeglądu centralnego — jak najbardziej słuszne. Słowa uznania należą się przede wszystkim za sięgnięcie po pozycję reprezentowaną, określającą ambicje i możliwość zespołu, który — notabene — obchodzi jubileusz swojej pięćdziesiątej premiery. Na podkreślenie zasługuje fakt, że jest to pierwsza premiera „Kolumbów” na amatorskiej scenie.

Spektakl bardzo dobrze przygotowany reżysersko i scenograficznie. Sprawny i czytelny. Przykuwa uwagę widowni, umiemy szczerością i bezpośredniością. Bierze w nim udział imponująca liczba wykonawców, z których wielu dopiero po raz pierwszy znalazło się na scenie i, trzeba to podkreślić — nie zawiodło.

W sumie przedstawienie „Kolumbów”, po usunięciu kilku drobnych zresztą mankamentów, powinno godnie i nie bez szans na wysoką ocenę, reprezentować nasze województwo na przeglądzie centralnym Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych.

Zaszczytu reprezentowania województwa rzeszowskiego w central-

„Trzy prawdy” — sztuka ta porusza problemy współczesnej rodziny i ukazuje związane z nimi konflikty; trzy prawdy, charakteryzujące trzy różne postawy. W tym przypadku zespół również stanął na wysokości zadania. Wykonawcy zrealizowali swe sceniczne zadania z powagą i szczerością. Bardzo dobre — zwłaszcza postacie kobiece. Wartość spektaklu — niestety — obniżyły dekoracje, nieco przeładowane i rażące kolorystycznie.

Spektakl mielecki „Śniadanie, obiad, kolacja” dopracowany w najdrobniejszych szczegółach odznacza się sprawnością techniczną i przejrzystością. Przedstawienie można my ocenić wyżej, gdyby nie fakt, że zarówno reżyserem, jak i scenografem są zawodowcy. Ten moment uwzględniła zresztą przy ocenie komisja festiwalowa.

Trudno bowiem stawić znak równania pomiędzy np. zespołem przemyskim, który posiada swego reżysera — amatora i scenografa czy łańcucką „Lutnię”, która posiada kilku stale pracujących z zespołem reżyserów — amatorów, a zespołem mieleckim, którzy do współpracy z zespołami amatorskimi angażują zawodowych reżyserów i scenografów, a tym samym amatorstwo ogranicza się do... aktorów. Jest to zresztą problem wymagający oddzielnego omówienia i sprzecyzowania stanowiska w tej sprawie.

W dalszej kolejności na Wojewódzkim Przeglądzie Związkowych Teatrów Dramatycznych sklasyfikowano:

Łańcucką „Lutnię”, zespół działający przy Prezydium PRN, który na Festiwalu przygotował sztukę jugosłowiańskiego dramaturga Dobriczanina „Wspólne mieszkanie”, w reżyserii Antoniego Sobolewskiego i scenografii Franciszka Frączka. Wybór tej pozycji zespół uzasadnił aktualnością konfliktów, które nie obce są również i u nas.

tematem jest walka z faszyzmem, prawadzona wspólnie przez klasę robotniczą Polski i Niemiec, przygotował długoletni reżyser Tadeusz Chłodnicki. Niejednolita konwencja utworu i niepogłębione psychologicznie postacie Niemców nie ułatwiły zadania grającym. Stąd sarnoccy amatorzy nie ustrzegli się pewnego schematyzmu.

Teatr Młodych ZDK WSK w Rzeszowie wystąpił z „Krzywym lustrami” Zofii Bystrzyckiej, w reżyserii i scenografii Aleksandra Małyka. Jakkolwiek przedstawienie miało dobre tempo, nienajgorszy dialog i staranne przygotowanie — komisja dopatrzyła się pewnych niekonsekwencji w śmiałej zresztą inscenizacji i stąd ta niska ocena.

Najniższą natomiast ocenę uzyskał zespół teatralny Klubu Fabrycznego WSK z Dębicy, który do Festiwalu zgłosił „Wodewil warszawski” Z. Gozdawy i W. Stępnia, w reżyserii i scenografii Bronisława Kassowskiego. Dobiczanie nie dopracowali spektaklu do końca. Uwidocznili się usterki techniczne, nie najlepsza była też scenografia.

W sumie cały Wojewódzki Przegląd Związkowych Teatrów Dramatycznych uznać należy za imprezę w pełni udaną. Wprawdzie organizatorzy Festiwalu ze szczebla centralnego nie zapewnili obliczanych dyplomów uczestnictwa w Festiwalu dla zespołów prezentujących swoje osiągnięcia na szczeblu wojewódzkim, ale WKZZ postarała się, by nad poszczególnymi zespołami objęły patronat rzeszowskie zakłady pracy (WSK, Spółdzielczość Mleczarska, WZGS, RZGG, PKP, Wydział Kultury Prez. MRN, RZFSG) i w ten sposób nie zabrakło ani dyplomów, ani upominków, ani kwiatów...

Były to więc „Małe Spotkania Teatralne” na rzeszowskiej scenie i imprezę tę, organizowaną od trzech lat pod hasłem „Teatry Robotnicze Ludziom Pracy” — warto chyba kontynuować.

Edward Zolowski

Wierszem

wierszem jest nasza obecność
muzyka i praca — i cisza kamieni
wierszem są nasze tęsknoty
krążące bez przerwy po orbicie ziemi

wierszem jest każdy poranek
i okna ptakami do izł wołające
dłonie zegarem nabrzmiałe
i dłuto na drewnie — i wszystkie przekątne

Matka — stół i cząstka światła
dźwięki wewnątrz progu układane z próchna
Ojciec — plug i kromka chleba
i każda nadzieja — i nadejście jutra

wierszem jest nasze wołanie
do twarzy będących pamięcią w powiekach
wierszem jest kwiatów składanie
i szukanie legend w odejściu człowieka

wierszem jest drewno przydrożne
podobieństwo nasze — słowem z cudu gliny
wierszem są ołtarze głogów
do których kropkami płaczu się modlimy



Roman Tarkowski „CZARNA DZIEWCZYNA” — drzewo

Fot. M. KOPEC

Zdzisław Kozioł

SKAZANI
NA KSZTAŁCENIE?

Jeden z ważnych działów oświaty dorosłych, kształcenie w zakresie szkoły podstawowej, przeżywa od kilku lat poważny kryzys, który ujawnił się wówczas, gdy — z inicjatywy związków zawodowych — zapoczątkowano wielką akcję dokształcania pracowników w wieku do 35 roku życia. Mówiąc o kryzysie, mam na uwadze zarówno niezadowolające rezultaty tej kampanii, jak i pogłębiające się zniechęcenie realizatorów.

Świadczy o tym chociażby przebieg wojewódzkiej rady zorganizowanej przez WKZZ; w tego rodzaju spotkaniu przedstawiciele szkolnictwa, związków zawodowych i zakładów pracy uczestniczyłem już któryś raz z rzędu. Ostatnie skłania do wyjątkowo smutnych refleksji. Wprawdzie solidnie i skrupulatnie opracowany referat, zawierający ostre i kontrowersyjne oceny, zachęcał do dyskusji, to jednak dyskutować nikt nie chciał. Mimo woli nasuwa się porównanie z lekcją, do której uczeń nie przygotował... Sytuację usiłował ratować oficjalni przedstawiciele i oni w zasadzie wyczerpali limit czasu przeznaczony na dyskusję.

Omawiając to zagadnienie, zwykło się powoływać na podjętą po wyzwoleniu walkę z analfabetyzmem. Otóż polskie doświadczenia doczekały się już teoretycznych uogólnień, korzysta z nich wiele krajów, polscy eksperci są wysoko cenieni przez UNESCO oraz rządy niejednego państwa „trzeciego świata”, dla których likwidacja analfabetyzmu jest wstępnym warunkiem rozwoju w szerokim tego słowa znaczeniu.

Ale czy teoretyczna podbudowa drugiej fazy rewolucji oświatowej, do której m. in. trzeba zaliczyć masowe kształcenie dorosłych w zakresie szkoły podstawowej, jest równie imponująca?

Wzbudza niepokój swego rodzaju samouspokojenie opinii publicznej, przecenianie postępów w zakresie kształcenia dorosłych, nierozważne często szermowanie hasłem „Polska krajem ludzi kształcących się”. Z chwila, gdy na porządku dnia stanął problem powszechności nauczania na poziomie średnim, gdy wykształcenie wyższe przestało być przywilejem wąskiej grupy ludzi, zaczyna się nie dostrzegać niepokojącego zjawiska rażącego zróżnicowania społeczeństwa — właśnie pod względem wykształcenia. Upraszczając sprawę liczymy magistrów, których po studiach dziennych i wieczorowych przybywa rocznie tysiące, a przestajemy liczyć dzieci, które opuszczają szkołę podstawową przed jej ukończeniem. Wiemy ilu jest w Polsce inżynierów, nie wiemy ilu półanalfabetów czy wtórnych analfabetów.

A ilu pracowników w wieku do 35 roku życia, a więc tych, którzy w myśl uchwały Rady Ministrów powinni być objęci dokształcaniem, nie ukończyło szkoły podstawowej? Skazani jesteśmy na dane szacunkowe, przy czym różnią się one w zależności od tego, kto i do jakich celów obliczeń dokonał. Nie będę się wdawał w spekulację na ten temat i zaniecham żonglerki cyframi; w każdym bądź razie jest kogo kształcić, są środki notabene rokrocznie nie wykorzystane, ma kto uczyć, ale liczba szkół podstawowych dla pracujących ulega w ostatnich latach zmniejszeniu, bo nie było chętnych do nauki.

Interesujące wyniki przyniosła kontrola realizacji wspomnianej uchwały rządu. Ekipy wysłane przez WKZZ dotarły do 187 zakładów zatrudniających 1/3 pracujących w gospodarce społecznej Rzeszowszczyzny. 15,3 proc. załóg kontrolowanych przedsiębiorstw nie ukończyło szkoły podstawowej, bywają zakłady, w których co czwarty, a nawet co trzeci robotnik nie osiągnął minimum wykształcenia. Prawie połowa zobowiązanych do ukończenia szkoły podstawowej to młodzież w wieku 17—24 lat.

W minionym pięcioleciu nauczaniem podstawowym, w szkołach i na kursach, objęto w Rzeszowskiem blisko 40 tys. osób dorosłych. Wydawałoby się, że baza rekrutacyjna będzie wkrótce wyczerpana. Złudzenie. Tylko w Rzeszowskiem około 1500 dzieci nie realizuje obowiązku szkolnego, w tym 500 tylko dlatego, że ich rodzice lub opiekunowie nie widzą potrzeby posyłania dziecka do szkoły. Zdaniem inspektorów NIK-u,

z którymi przed kilku miesiącami rozmawiałem na te tematy, w dużym stopniu winę ponoszą władze terenowe zbyt liberalnie egzekwujące realizację dekretu o obowiązku szkolnym. Ustalenia NIK-u pod tym względem nie budzą wątpliwości, ukazują wyraźnie rozmiary społecznie szkodliwego zjawiska. Wspomniane dzieci za kilka lat podejmą pracę i znów trzeba będzie organizować kursy, rozwijać akcję na rzecz upowszechniania kształcenia robotników. Wniosek nasuwa się jasny; pełna realizacja obowiązku szkolnego zapobiegnie zwiększeniu się liczby osób bez wykształcenia podstawowego. Sporo jest do zrobienia w tym zakresie, weźmy chociażby dzieci chore, kaleki, czy umyślnie opóźnione, którym tylko szkoły specjalne gwarantują zdobycie minimum wykształcenia. Sieć tych szkół jest nie wystarczająca. A czy można z czystym sumieniem powiedzieć, że dostatecznie jasno wiadomo, jaki odsetek dzieci wymaga i z jakich względów, szczególnej troski? Jest to problem nie tylko dla władz szkolnych, ale także np. medycyny, chodzi bowiem m. in. o przyczyny powodujące opóźnienia umysłowe. I jeszcze jedna uwaga: dzieci normalnie zaniebane, po przekroczeniu wieku obowiązku szkolnego, przerywają edukację, względnie w najlepszym wypadku kontynuują ją w szkołach dla dorosłych. Następczą one sporo kłopotów wychowawczych, destrukcyjnie oddziałują na pozostałych uczniów, odstraszały nawet dorosłych od uczęszczania do szkół.

Skoro już o tym mowa, podam, że pracodawcy zwalniali często od obowiązku kończenia szkoły podstawowej. Zachodzi podejrzenie, że „diagnozę” tę stawia się zbyt pochopnie. Sprawa też do zbadania, ale w postępowaniu dyscyplinarnym.

Przejdźmy do spraw bardziej szczegółowych; blisko w połowie kontrolowanych przedsiębiorstw nie ma planu dokształcania załóg choć uchwała rządu nakazuje ich opracowanie. Tłumaczono to nieznajomością tego aktu, względnie brakiem zarządzeń wykonawczych, co ogólnie mówiąc jest wyjaśnieniem naiwnym, wydającym świadectwo administracji. Inni pracodawcy twierdzili, że nie ma pracowników, którzy powinni się uczyć, a jeśli nawet są, to do szkoły nie wypędzisz ich kijem. Tego rodzaju wyjaśnienia składane są już od kilku lat.

O niewłaściwej atmosferze świadczą i inne przykłady. Kadrowcy raz w roku dla świętego spokoju zmuszają do pisania zobowiązań, że deklarent pójdzie do szkoły. Jakiej, gdzie — o tym mowy nie ma. Częste były także wypadki beznamiętnych, a może przemysłanych, szykan: gdy władze rygorystycznie domagały się realizacji uchwały rządu, przedsiębiorstwa przestały przyjmować do pracy ludzi bez podstawowego wykształcenia, względnie zwalniali już pracujących. Oczywiście praktyki te stosowano w tych miejscowościach, w których nie było kłopotów z wykwalifikowaną siłą roboczą. Skutki takich metod podnoszenia poziomu umysłowego ludzi są oplakane, wspomnę tylko, że „skazani” na kształcenie szli do szkoły i prosili o przyszłowiowy już „papierek” — świadectwo 7 klasy. „Papierków” na zawołanie nie wydawano, ale nauczyciel nieraz liberalnie stawał oceny, bo żał mu było człowieka, któremu groziło zwolnienie z pracy.

W wielu przedsiębiorstwach nie ma społecznych podmiotów do podnoszenia wiedzy ogólnej; wykształcenia nie uwzględnia się przy awansach, częste bywają wypadki nierepektowania nawet przepisów określających ulgi dla uczących się pracowników (nb. trwają obecnie prace nad unifikacją tych przepisów). U podstaw tego leży często niezrozumienie istoty uchwały rządu, stąd jej formalne, biurokratyczne traktowanie.

Piszę głównie o niedomaganiach; w przedsiębiorstwach w których tę akcję należycie przeprowadzono, istnieją współdziałania administracji i tzw. czynników społecznych z tym, że najwięcej zależy jednak od dyrekcji. Jeśli administracja nie rozumie potrzeby dokształcania pracowników, na nic się nie zdadzą wysiłki pozostałych partnerów. O tym, że

można sporo zrobić, świadczą chociażby takie przykłady; organizowano kursy w miejscu zamieszkania pracowników, wykorzystywano na naukę przerwy w pracy, zapewniano niezbędne pomoce naukowe itp. itp. Na szczególną uwagę zasługuje łączenie kształcenia ogólnego z kursami zawodowymi, co zwiększa atrakcyjność, jest argumentem przemawiającym za tym, że nauka coś daje.

Jakże często jednak zamiast współdziałania, występuje wzajemne przetrzucanie odpowiedzialności. Dotyczy to głównie wzajemnych stosunków między administracją przedsiębiorstwa a szkolnictwem. Do szkolnictwa można żywić niejedną pretensję, np. niski poziom wielu kursów, ale utarł się zły obyczaj, by szkoła szukała uczniów. Nauczyciele chodzili dziesiątki razy do przedsiębiorstw, agitowali dyrektorów oraz pracowników, gdy skierowali przerywali naukę, wędrowna rozpoczynała się na nowo. Jest to jedna z przyczyn deprecjacji kształcenia, obniżenia prestiżu nauczyciela. Zgadzałem się z przedstawicielami administracji szkolnej, którzy na ostatniej naradzie powiedzieli: „skierujcie ludzi, będziemy ich uczyć”.

Tu nasuwa się pewna uwaga: istotnie w wielu przedsiębiorstwach jest stosunkowo mało pracowników, którzy podlegają obowiązkowi dokształcania, a kursu w miejscu pracy zorganizować nie można, bo Ministerstwo Oświaty ze względów oszczędnościowych obniżyło dołną granicę liczby kursantów. Zarządzenie to przeważnie utrudnia realizację uchwały rządowej i powinno być anulowane.

Skoro mówimy o współdziałaniu, dodam, że przedstawiciele związków zawodowych i władz szkoleniowych uskarżają się na organizację młodzieżową, zwłaszcza ZMS, które przejawiają obecnie znacznie mniejszą aktywność. Działacze młodzieżowi twierdzą, że w swych szeregach mają znikomą ilość członków bez podstawowego wykształcenia. Jest to więc jeszcze jedno potwierdzenie, że zachodzi ścisły związek między aktywnością społeczną a poziomem umysłowym. Organizacje młodzieżowe swym oddziaływaniem nie obejmują niewykształconej szerszej grupy młodzieży.

Przejdźmy do innego aspektu zagadnienia planowania oświaty dorosłych.

Plany dokształcania są rokrocznie niewykonywane, nasuwa się więc pytanie czy nie były one wadliwie sporządzone. Oczywiście zaważyła na tym omówiona już praktyka realizacji uchwały rządu, ale wieloletnie niewykonywanie planów musi doczekać się głębszej analizy. Opracowano je bez znajomości struktury załóg pod względem wykształcenia, źródeł dopływu pracowników bez klasy 7.

Systematyczne, rokroczne niewykonywanie planów podraża ich nieuzasadniony optymizm. Na narzędzie dużo mówiono o zakończeniu akcji w bieżącym pięcioleciu. A przecież, dzieci, które obecnie mimo obowiązku, do szkoły nie uczęszczają, za parę lat podejmą pracę zawodową, trzeba je będzie uczyć... Trzeba więc planować realnie i konsekwentnie realizować postanowienia.

O złym planowaniu świadczy i to, że nie uwzględnia się poważnego zróżnicowania kandydatów do nauczania. I tak np. chwali się Hutę „Stalowa Wola” za świetne zorganizowanie dokształcania załogi, a gani przedsiębiorstwa budujące drogi. Nie pomniejszam sukcesów Huty, nie bronie drogowców, ale te dwa zakłady są nieporównywalne. Ale to zagadnienie ma szerszy aspekt: chodzi także o zróżnicowanie metod propagandy, wyjaśnienia potrzeby i korzyści płynącej z kształcenia, a przede wszystkim poszukiwanie właściwych sposobów realizacji tej kampanii wyłania się szczególnie sprawa robotników dojeżdżających oraz kobiet. I tego problemu nie rozwiąże się środkami przymusu czy zachęcaniem tylko.

Na zakończenie tych uwag, których nie traktuję jako wyczerpanie tematu, sprawa o charakterze szerszym. Po co właściwie organizuje się dokształcanie załóg. Można odpowiedzieć różnie. Ciekawie ten problem ujmuje UNESCO. Podczas regionalnej konferencji zorganizowanej

(Ciąg dalszy na str. 3)

Stereotypy, mity, formułki

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Rocznik Rzeszowski, Rocznik Naukowo-Dydaktyczny WSP i Kwartalnik Rzeszowski. Wkrótce zostanie oddany do użytku Międzynarodowy Klub Książki i Prasy, a sieć księgarń i placówek bibliotecznych wzrasta z dnia na dzień. Środowiska artystyczne, niezbyt jeszcze silne, ciężej się żyją opieką i poparciem władz partyjnych i państwowych i już zaczynają się dorabiać owoców w postaci książek, wydawnictw i wystaw. W tym „niekulturalnym” Rzeszowie wszystkie bilety na Rzeszowskie Spotkania Teatralne są sprzedane na długo przed rozpoczęciem imprezy, a amatorski Teatr Słowa „Meluzyna” zdobywa od lat pierwsze nagrody i wyróżnienia na festiwalach ogólnopolskich.

Przemysł jest istotnie miastem z tradycjami, chłonnością i aktywnością kulturalną. Leczący jest obecnie już tak pokrzywdzonym i zakompleksionym, jak mówi formułka? Miasto otrzymało kilka lat temu sporą subwencję dzięki uchwał

Rady Ministrów na ożywienie ekonomiczne. Rozrasta się i pięknieje, to już nie jest Przemysł z lat 50-tych. W tej sytuacji — kompleksy i urazy są reliktem przeszłości — nie znajdują odniesienia w rzeczywistości.

Nie chcę przedłużać artykułu przytaczaniem innych szablonów pojęciowych o Rzeszowszczyźnie choć jest ich jeszcze sporo. Stereotypy dotyczą zresztą nie tylko naszego terenu, prawdopodobnie i piszący te słowa grzeszy jakimś schematycznym ocenianiem problemów Lublina czy Opolu. Ale nie wolno tracić okazji, by konfrontować je na bieżąco z rzeczywistością i w razie potrzeby rewidować. Są bowiem szkodliwe, gdyż tworzą zasłony dymne na prawdziwym obrazie współczesnego życia. Równocześnie te formuły są nęcące, gdyż dają poczucie złudnej stabilności i bezpieczeństwa wśród rwącego nurtu przemian zwłaszcza dziennikarzem i dlatego tym bardziej niebezpieczne.

JAN GRYGIEL

Wilhelm Mach — redaktor szkolnego miesięcznika w Dębicy

Dzięki uprzejmości pana Czesława Szewczyka z Sanoka otrzymaliśmy i egzemplarz miesięcznika młodzieży gimnazjalnej z Dębicy, z października 1935 pt. „U nas”. Piśmanko nie odbiega na ogół poziomem graficznym i treścią od innych podobnych pism gimnazjalnych, których w okresie międzywojennym sporo się ukazywało. Zasługuje jednak na szczególną uwagę, gdyż inicjatorem tej imprezy wydawniczej był zmarły niedawno pisarz Wilhelm Mach, wówczas uczeń gimnazjum w Dębicy. (Jego pobyt w tej szkole upamiętnia odsłonięta niedawno na jej gmachu tablica marmurowa). Wilhelm Mach sam wykonał projekty winiety tytułowej pisma i pełnił funkcję przewodniczącego zespołu redakcyjnego. W numerze, którego fotokopię zamieszczamy obok, znajdujemy artykuł wstępny jego pióra, dwa wiersze liryczne i humoreskę „Jak to było na wakacjach ładnie” podpisaną kryptonimem Ag. (Agapit — przydomek nadany Machowi przez kolegów). Redaktorem odpowiedzialnym miesięcznika był mgr Michał Dąbrowski, nauczyciel języka polskiego, a obecnie dyrektor Liceum Ogólnokształcącego w Brzesku.

Artykuły Macha wyróżniały się elegancją i wytwornością stylistyczną oraz humorem. Aczkolwiek trudno byłoby w nich dojrzeć charakterystyczne cechy jego późniejszej, powieściopisarskiej twórczości, to wyraźnie rysowuje się w tych próbkach i wprawkach uczniowskiego pióra sylwetka człowieka, jakiego znaliśmy później, życzliwego wszystkim, dobrodusznego i pogodnego.

Jego wiersze, od których, jak każdy młody twórca zaczynał działalność literacką, odznaczają się dojrzałością formy, znamionującą dużą wyobraźnię i wrażliwość, mimo iż nie mają jeszcze oryginalnego, własnego wyrazu i nie wykraczają poziomem poza interesujące juwenilia. Sądymy, że warto zacytować tu młodzieńcze próby poetyckie Macha, natomiast prozy, która ma charakter zbyt okolicznościowy przedrukowywać nie będziemy. Przy okazji dziękujemy panu Czesławowi Szewczykowi, który również był wtedy członkiem zespołu redakcyjnego piśmanka za udostępnienie egzemplarza i dodatkowe informacje.

JAN GRYGIEL

Ogród w nocy

Noc wylewa z nieba i wsiąka w drzew listowie,
Sączy się w dzwonki lilij, czerwone rosi róże...
Cicho szepce, sitowie rosnące dziko w rowie,
Ze księżyc dziś utonął w poulewniej kałuży.

Wysokie słoneczniki skloniły złote czoła
I trwają w smutnych myślach o zbiegłej dnia pogodzie,
W leszczynie wiatr szeleści, na grzędach gwarzą ziola
Ze się w rogu ogrodu pierwszy habdusz urodził.

Jest wonnie i szelestnie. —
Białe głowy kapusty
Słuchają szmeru liści rozłożystych czereśni,
Ule milczeniem kłamią, że są bezmiłodne i puste —
Spokój srebrzysty, wielki w nocną się ciszę weśnił.

Dzień

Ranek jest świeży i czysty jak chłodna źródłana woda;
(Czy słyszysz, jak tętni życie, znowu do pracy wstające?)
Ziemia, co z snu się otrząsa, znowu jest piękna i młoda,
Drzewa rosnąmi listkami całują złote słońce.

POŁUDNIE
Ziemia jak owoc dojrzęła wygrzewa się do słońca,
Dojrzewającego lata barwą i wonią pijana.
W przestworzach rozlał się bezmiar ciszy ogromnej bez końca,
Wiatr zadziwiony milczeniem ukrył się w liściach kasztanów.

WIECZÓR
Już w przepaść widnokręgu lecą zórz płaty czerwone, —
Gdzieś z dali nadciąga wieczór jak smutek i chmury.
Pieszczotą słońca zmęczone chył się kwiatów korony,
Cisza wygrzywa bezgłośnie swe księżycowe nokturny.

Aleksander Żyga

„GORĄCZKA NAFTOWA” ASNYKA

Wśród poezji Adama Asnyka znajduje się cykl wierszy osnutych na motywach ludowych, które jednak z powodu monotoności ich rytmiki opartej na pieśni ludowej i częstochońskich rymach nie przynoszą sławy poecie. Z motywami ludowymi stykał się Asnyk podczas licznych swoich wyjazdów do różnych miejscowości w Galicji. Początkowo najczęściej odwiedzał Zakopane i Krynice. W swych wędrowkach do wielu przyjaciół nie omieszkał odwiedzić i terenów dzisiejszej Rzeszowszczyzny. Sprzyjały temu przyjazne jego stosunki z ludźmi, którzy pełnili wysokie funkcje w administracji galicyjskiej, jak burmistrz Gorlic, a zarazem prezes Banku Związkowego i działacz społeczny tego miasta, Wojciech Biechoński, Sokółowski oraz krewniak pierwszego i właściciel przyszłego Żarnowca Konopnickiej — Ludwik Biechoński. Poeta bywał częstym gościem u Ignacego Pieniążka w Nagawczynie oraz u ziemian literatów, gospodarujących w swoich majątkach, nędznymi honorariumi latających dziury powstałe z nieumiejętnej częstokroć gospodarki rolnej.

Spośród bliskich przyjaciół Asnyka wymienić należy przede wszystkim Ignacego Sewera Maciejewskiego, w latach 1878—1898 dzierżawcę Braciejowej pod Dębicą, który swą dzierżawę zawdzięcza poecie i Władysławowi Kozłobrodzkiemu, właściciela Chłopic pod Jarosławiem, posła na sejm galicyjski.

W roku 1879 na zaproszenie Sokółowskiego znalazł się Asnyk na jego ślubie w Kobylance, w którym między innymi brała udział cała ówczesna śmietanka krakowska z Zyblikiewiczem, Popielem, Sanguszką, Bobrzyńskim i Rosztafińskim na czele. Pociągłem „na Stróżę” udali się wszyscy na stację kolejową koło Kobylanki, potem karetami na miejsce ceremonii. Poeta uczestniczył w tzw. wieczorze kawalerskim, zorganizowanym w Libuszy, na drugi zaś dzień był jednym z gości na ślubie swego kolegi.

„W połowie obiadu przybyła muzyka z Krakowa, zaczęła przygrywać, a ja szereg toastów zakończyłem dawnym polskim: Kochajmy się. Po obiedzie zaczęły się tany. Bawiono się do wpół do siódmej z rana. Na nocleg, a raczej na dzienny wypoczynek, powróciłem znowu do Libuszy i znowu na obiad wieczorem stanęliśmy w Kobylance”.

Wieczorem wrócili wszyscy na stację kolejową, wyjeżdżając do Krakowa.

Przyjaźń Asnyka z burmistrzem Gorlic, Wojciechem Biechońskim, przypadła na lata intensywnego rozwoju przemysłu naftowego w Galicji. Gorlice wraz ze swoją okolicą roponosną, obok Krośnice i Samborskiego, stały się wówczas jednym z głównych jego ośrodków. Łatwe i ogromne karyery, jakie na „studniach” naftowych zrobili niektórzy szczęściarze i kapitaliści krajowi oraz zagraniczni wywołały nagłą gorączkę naftową, od której rzadko kto zdołał się uchronić. Uległ jej także i Adam Asnyk, w studnie naftowe lokując swoje oszczędności i honoraria. Bliskie stosunki z Wojciechem Biechońskim skłoniły poetę do zaangażowania się w spółkę naftową. I on, podobnie jak inni polscy pisarze, uległszy ówczesnej psycho-

zie naftowej, liczył, że na nafcie prędzej można zarobić niż na literaturze. Do spółki owej, zorganizowanej w drugiej połowie 1881 roku i kopiącej studnie w okolicach Gorlic oprócz W. Biechońskiego i Asnyka przyłączył się jeszcze później Kotarski. Zaangażowany w spółkę poeta pilnie starał się chłodzić koło swojego interesu; w cza-

którymi można ledwie wypełnić flakonik, ale musi być w znaczniejszej ilości pod pokładem kamienia, który teraz przebijają”.

Ponieważ spodziewana ropa nie zaczęła się pokazywać, a gotówka zaczęła się powoli wyczerpywać, zwołano zjazd spółki naftowej do Gorlic, na którym urządzono kopanie drugiej studni. Wreszcie ropa



się kopania studni często odwiedzał okolice Gorlic:

„Być może, że mi przypadnie w tych dniach — pisał do ojca 3. X 1881 r. — przyjechać jeszcze do Gorlic w interesie naszej kopalni, która od miesiąca obiecuje, ale dotąd nie dać nie chce. Może moja bytność nakłoni ową obiecującą studnię do wypełnienia się naftą po same brzogi, czego jej i sobie życzę. Ze nafta ukrywa się tam w głębi, dowodzi tego kamień przesiąknięty naftą, którego pokłady przebijaemy, ale kiedy dobierzemy się do rezerwaru, tego przewidzieć trudno (...). Prognozyki co do naszej studni są jak najlepsze, ale rad bym bardzo widzieć je już urzeczywistnione. W niedalekim sąsiedztwie tego gruntu, który my posiadamy, zaczął kopać pewien nauczyciel szkół niższych, człowiek bardzo ubogi, ale tak szczęśliwie trafił, że w przeciągu czterech lat zakupił kilka ładnych wsi i znaczne kapitały zgromadził. Przykład jego jest bardzo zachęcający, ale są także i inne, odstraszające, bo są inni, co bez najmniejszego rezultatu zakopali w ziemi znaczne kapitały”.

Kopana studnia mimo jej pogłębiania nie przynosiła ropy. Nadzieja zrobienia kapitałów na nafcie nie opuszczała jednak poety. Wierzył, że nafta się odnajdzie, to rzecz niewątpliwa, pytanie tylko w jakiej ilości. Sączy się ona i teraz przez kamień, ale w kropelkach,

znalazła się w niej, w niewielkiej ilości dopiero w połowie 1882 roku, zapowiadając chociaż częściowy zwrot kosztów włożonych w eksploatację.

Musieli Asnyk dyskutować na temat nadziei pokładanych w nafcie, z Sewerem Maciejewskim, skoro tenże radził mu, aby za przyszłą naftę kupić wieś.

„Sewer, który ma żywą imaginację — pisał Asnyk 8. VII 1882 r. do ojca — każe mi już z przyszyj naftę kupować wieś, którą on chce wziąć w dzierżawę. Ja zartem wchodziłem w tok jego fantazjowania tak, że nawet poróżniliśmy się o cenę dzierżawy”.

Jednym ze stałych miejsc, w którym lubiący wieś poeta spędzał wolne od pracy dziennikarskie dni i niedziele, była wspomniana Braciejowa pod Dębicą, w której gospodarował i tworzył swe najważniejsze wówczas dzieła Sewer Maciejewski. Asnyk gościł tu dość często. Przyjeżdżając tu z Krakowa głównie na niedzielę, odwiedzał często już to Ignacego Pieniążka w Nagawczynie, już to w Żarnowcu Ludwika Biechońskiego.

„Po tygodniu pobytu w Żarnowcu u Biechońskich — donosił ojcu 1885 roku — przeniosłem się wreszcie do Braciejowej, zbliżając się do Krakowa. Żarnowiec nie bardzo mnie zachwycał, tym bardziej że tak trudno dostać się do niego. Wyjechałem w sobotę wpół do jedenastej rano z Krakowa, stanąłem dopiero o dziesiątej wieczorem na miejscu (...). We wtorek wieczorem przybył tam Sewer, z którym zrobiliśmy wycieczkę do Iwonicy dla odwiedzenia pani Stanisławy Biechońskiej, bawiącej tam na kuracji, a w sobotę konni ruszyliśmy do Braciejowej. W Braciejowej czuję się znacznie lepiej i (...) z jaki tydzień posiadzę. Powietrze tu znacznie zdrowsze niż w Żarnowcu, gdzie pełno moczarów od przylegającej rzeczki. Urodzaje Sewera wcale dobre, żyto już prawie pornęła a teraz mają zacząć pszenicę”.

Braciejowa, Nagawczyna i Żarnowiec stanowiły jakby letnie rezydencje Asnyka, w których znajdował miłe towarzystwo, wytchnienie, a nawet spokojne chwile do tworzenia. I temu poecie — myślicielowi, który uległ gorączce naftowej, bliska była sielanka wiejska. Jego niedzielne „majówki” do przyjaźni na wsi wstawił do pewnego stopnia literacki exotyzm mieszczańskich na wieś w okresie Młodej Polski.

SKAZANI NA KSZTAŁCENIE?

(Ciąg dalszy ze str. 2)

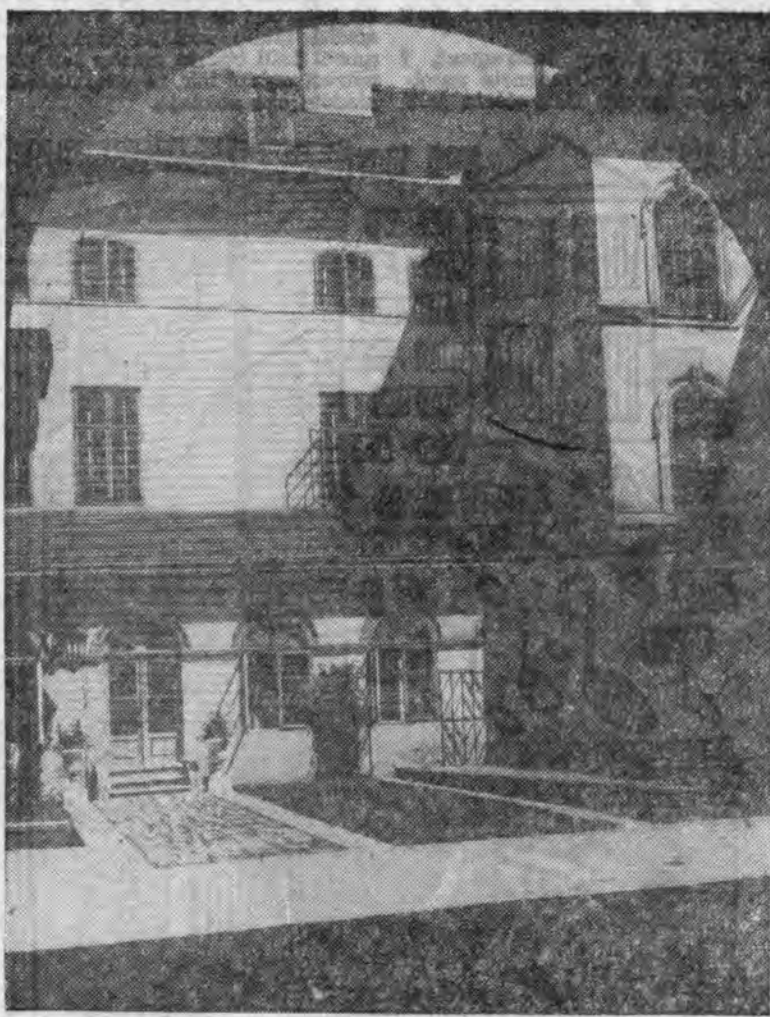
nej przez rząd czechosłowacki i Czechosłowacki Komitet do Spraw UNESCO omawiano zagadnienie oświaty dorosłych w aspekcie wolnego czasu. Nie będę pisał o zaleceniach tej organizacji, wspomnę natomiast że sekretarz generalny UNESCO René Maheu uznał rolę oświaty dorosłych za co najmniej równorzędną z nauczaniem szkolnym; ma ona zaspokoić dążenia jednostek oraz wymagania rozwoju społecznego, ekonomicznego i kulturalnego narodów.

Rozwijając tę tezę, René Maheu snując wizję społeczeństw przyszłości, wysunął program działania. Powiedział m. in.

„konieczne jest kształcenie wykwalifikowanych oświatowców i działaczy, odpowiednie posługiwanie się nowoczesnymi środkami informacji masowej, opracowanie metod pozwalających grupom społecznym uposiadczonym pod tym względem jak np. kobiety, osoby starsze, mieszkańcy wsi, na pełne korzystanie z programów oświaty dorosłych i organizacji czasu wolnego. Tego rodzaju problemy techniczne można jedynie rozwiązać wówczas, gdy ustali się je w ich kontekście humanistycznym, przez metodyczne badania socjologiczne, które winny być uważane przede wszystkim za wskaźnik i czynnik pomocniczy najwyższych racji etycznych rozwoju cywilizacji”.

Nie mam nic do dodania, chyba tylko to, że w tym właśnie kontekście trzeba ujmować masowe kształcenie dorosłych w zakresie szkoły podstawowej.

ZDZISŁAW KOZIOL



Fot. M. KOPEC



Fraszki biorą jak ryby...

Franciszek Błoński

W MUZEACH

Kto z Was, czytelnicy, nie miał jeszcze sposobności zwiedzić jakiegoś muzeum? Dziś już z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że niemal wszyscy, tak młodzież jak i dorośli, byli co najmniej raz w życiu w jednym z muzeów w Polsce. A jest tych placówek kultury w naszym kraju ponad 300 i liczba ta zwiększa się co roku o kilkanaście nowych muzeów, a to nie tylko w dużych miastach, ale też w małych miasteczkach, ostatnio nawet i w niektórych wsiach.

Ubiegłego miesiąca w związku z krajową konferencją muzealną w Białymstoku, w której uczestniczyło ponad 100 przedstawicieli muzeów, głównie okręgowych z całej Polski, a wśród nich 7-osobowa grupa pracowników muzeów z województwa rzeszowskiego, miałem sposobność zaznajomić się bliżej z działalnością i osiągnięciami kilku muzeów województwa białostockiego, a z uwagi na ich atrakcyjność zasługującą na spopularyzowanie pragnę podzielić się moimi spostrzeżeniami z szerszym ogółem zainteresowanych działalnością muzeów.

Trzy dni pobytu w województwie białostockim przy pięknej słonecznej pogodzie wszyscy uczestnicy konferencji wykorzystali jak najlepiej i cały jej program uważali za bardzo udany.

W pierwszym dniu toczyły się w Białymstoku obrady z referatami i dyskusją na temat osiągnięć i rozwoju placówek muzealnych oraz ochrony zabytków w województwie białostockim. W czasie dłuższej południowej przerwy w obradach mieliśmy sposobność dość dokładnie obejrzeć i zaznajomić się z ekspozycjami muzealnymi w tym mieście, które swym wielkomięskim rozmachem, szerokimi ulicami i ładnymi nowoczesnymi budynkami oraz znaczną ilością zieleni i skwerów robi bardzo przyjemne wrażenie.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku, powołane do życia w 1949 roku, mieści się obecnie w zabytkowym Ratuszu z połowy XVIII wieku, odbudowanym w latach 1954-1958 po zniszczeniach ostatniej wojny, a usytuowanym w centrum miasta. Jest to okazała barokowa budowla z centralnie górującą nad nią, wieżą zegarową.

Stała ekspozycja muzealna, urządzona w tym budynku obejmuje zbiory archeologiczne, etnograficzne oraz historyczne, dotyczące miasta i ziemi białostockiej, a ponadto znajduje się tu Galeria Malarstwa

Polskiego, obrazująca polską sztukę w rozwoju historycznym, z uwzględnieniem współczesnej twórczości plastycznej łącznie z pracami malarzy białostockich. Utworzone w 1962 roku Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Białymstoku jako Oddział Muzeum Okręgowego otrzymało po gruntownym remoncie również osobny zabytkowy budynek, barokowy pałacyk z XVIII wieku. Trzeba powiedzieć, że całość ekspozycji muzealnej w obu budynkach, zestaw eksponatów oraz ich oprawa plastyczna sporządzona została z dużym smakiem estetycznym, jak też znajomością nowoczesnych założeń i sposobów wystawiania zbiorów muzealnych.

Obie placówki muzealne w Białymstoku cieszą się wielkim zainteresowaniem miejscowego społeczeństwa i z uznaniem oceniana jest ich szeroko rozwinięta działalność. Dyrektor Muzeum Okręgowego w Białymstoku, mgr Zofia Sokółowska podczas konferencji otrzymała z rąk przedstawicieli władz wojewódzkich i centralnych odznakę Tysiąclecia Państwa Polskiego i złotą odznakę „Za opiekę nad zabytkami”.

Następnego dnia z rana wyjechaliśmy autokarami z Białegostoku w teren, aby zobaczyć kilka spośród siedmiu różnej wielkości placówek muzealnych, działających w tym województwie. W czasie objazdu terenu mogliśmy przyjrzeć się krajobrazowi województwa. Tu między innymi rzuca się w oczy znacznie słabsze w porównaniu z naszym województwem nowe budownictwo na wsi, jak też mniejsza gęstość zaludnienia.

Pierwszym miejscem, do którego dotarliśmy po 3 godzinach podróży, było miasteczko Nowogród nad Narwią, gdzie znajduje się kurpiowskie muzeum na wolnym powietrzu czyli tzw. skansen. Twórcą tego Muzeum jest doc. dr Adam Chętnik, zasłużony badacz i miłośnik tego regionu oraz tutejszej ludności, zwanej Kurpiami. On to własnym staraniem, gromadzeniem zbiorów i wytrwałą pracą organizacyjną powołał do życia ten obiekt muzealny.

W bramie wejściowej do skansenu witają nas Chętnikowie, Adam i jego żona, Jadwiga, która coraz bardziej wyręcza w pracy swego męża z powodu jego słabego zdrowia i podeszłego wieku. Z jej objaśnień dowiadujemy się, że już w okresie międzywojennym na tym miejscu był ten skansen urządzony i wyposażony jako jedno z pierwszych muzeów tego typu w Polsce. Stało tu wówczas już 9 budynków,

sie ustabilizował i jak się wydaje, przynajmniej na razie nie nosi się z zamiarem jakichś nowych zdrad. Przeciwnie, brnie coraz głębiej w swym romansie z tą piękną, lecz kapryśną Panią. Po tomach wierszy, przekładów i utworów dla dzieci, przyszył fraszki, które zapoczątkował, a książka... „Piórka” (było ich razem dziesięć) pan Jan podejmuje nowe zadanie. Zwierzył mi się, że od dawna czuje jakiś niedosyt, fraszki nie dają mu możliwości pełnej wypowiedzi. Pociąga go dramat. Przed paru miesiącami opublikował w „Dzienniku Polskim” utwór pt. „Jak zwykle wszystko jest winą Amora”, określając go swym przekornym zwyczajem, jako tłumaczenie nieznanego dramatu Goethego. Kamuflaż szyty zbyt grubą nicią, aby nie miano się na nim poznać: życie i twórczość największego niemieckiego pisarza była przedmiotem tyłu badań, że niepodobna przypuścić, by przeoczono jakieś utwory. Jest już gotowy drugi utwór pt. „Wygnańcy Ewy”, obecnie pisarz pracuje nad tomem tragisjelańskim pt. „Wina Amora”, który opublikowany zostanie przez Wydawnictwo Łódzkie.

Tematyka? Oparta na greckich mitach, wiecznie aktualne kłopoty z Amorem. Może skuszą któryś z teatrow?

Niedawno ukazał się w wydawnictwie „Ślask” nowy tom fraszek Sztudyngera pt. „Wiórki”: autor podpisywał je w czasie tegorocznego majowego kiermaszu. Przygotowuje również tom wspomnień dla Wydawnictwa Łódzkiego.

fraszek jest zaraźliwe, gdyż te wymyśliła żona), a poza tym kobiety, które stanęły na mojej drodze były nadzwyczajne, poczaszły od obu moich babek, Matki i żony (który mi wymyślił mój dobry znajomy, Katerwa, była jego sekretarką i którego do dzisiejszego dnia błogosławie, a ona los przeklina) w końcu córka i czteroletnia wnuczka.

Pan Jan dyskretnie pomija jakiekolwiek próbki żeńskiego rodzaju swoza rodzinnego kregu, w co gotowi bylibyśmy uwierzyć, gdyby chodziło o kogoś innego, a nie autora „Raptularza zakochanych”...

Lecz bądźmy dyskretni, skoro mistrz milczy, widocznie ma swoje powody...

Sztudynger urodził się w Krakowie, w rodzinie, w której żywe były tradycje naczelnika Kosciuszki (w gabinecie pisarza obejrzeć można stare biurko, przy którym sadywał zwycięzca spod Racławic).

Kiedy mijają młodzie góra i chmurna, osiadł w Poznaniu i tam właśnie zaczęła się seria jego „zdrad”. Był nauczycielem i po raz pierwszy zdradził szkołę na rzecz marionetek. Przygoda z teatrem zajęła dosyć długi okres w życiu pisarza: przez lata sam wystawiał i pisał sztuki przeznaczone dla teatru lałkowego...

Po latach zdradził lalki na rzecz literatury. Od tego czasu wyraźnie

Okupację przeżył w Sandomierskiem, na wsi, na tom ten złożył się wspomnienia i wiersze okupacyjne.

Rzeszów? Owszem, pan Jan bawił niejedną raz w naszych stronach, wywoził miłe wspomnienia z Sanoka, Przemyśla, Jasta, Rymanowa. Bibliotekarze rzeszowskie pamiętają go doskonale, chętnie też cytują fraszki, które „urodziły się” na spotkaniach. Był widocznie pisarz pod urokiem mieszkanka Przemyśla, skoro z miejsca rywał

„Przemysłanki piękne Panie Bo se nogi myją w Sanie”

a do pewnej bibliotekarki zwrócił się z dość śmiałym wyznaniem:

De Przemysłanki Zrobiłbym dziecko Tobie, ale przemysł to sobie!”

W najbliższym czasie pan Jan wybiera się do Jasta. Przy okazji ma ogromną ochotę zobaczyć Bieszczady. A w ogóle to plotkowaliśmy dużo, także o grzybach, które stanowią kłosek z rzedu hobby pisarza... Bawiliśmy się świetnie, lecz cóż w tym dziwnego, skoro gospodarz tak mówi o sobie:

„że mam język trochę plugaw ma cała Polska ubaw!”

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Kalman Segal

MUZYKALNI SĄSIEDZI

Kamienica, w której mieszkam, słynie w całej okolicy z interesujących mieszkańców. W naszej kamienicy wszyscy lokatorzy są muzycy, w każdym mieszkaniu jest co najmniej jedna gitara albo jedna harmonijka ustna, a jeden z sublokatorów gra na bębnie. Wprawdzie na parterze mieszka pewien staruszek, który nie ma już instrumentu ani słuchu, ale i on jeszcze wieczorami śpiewa i to nawet bardzo głośno, bo jest przekonany, że nikt go nie słyszy.

Na pierwszym piętrze, naprzeciw mojej garsoniery, mieszka pewna tajemnicza pani. Nocami słychać w jej pokoju przepiękne koncerty skrzypcowe. Kto chce usłyszeć Wieniawskiego w dobrym wykonaniu, niech przyjdzie do naszej kamienicy i posłucha pod drzwiami mojej sąsiadki. Codziennie rano obserwuję ją przez okno — wychodzi z futerałem od skrzypiec w ręku i dumnie kroczy do tramwaju.

Pewnego wieczoru, wruszony do głębi wspaniałą „Legendą” Wieniawskiego, zdobyłem się na odwagę, zapukałem do mojej sąsiadki i... To było zaskakujące. W środku pokoju zobaczyłem patefon. Ta muzyczna dama słuchała koncertu z nagrań płytowych.

— A futerał? — zapytałem. — Co pani nosi w futerałce?

— Z futerałem chodzę na zakupy — powiedziała muzyczna sąsiadka. — Jest lekki, estetyczny i robi bardzo dobre wrażenie.

Co powiedziałwszy odwróciła pi-

te, pokręciła korbką i usłyszeliśmy „Scherzo-tarantelle” Henryka Wieniawskiego.

Piętro wyżej, nad moją garsonierą mieszka pewien wesoly i muzyczny student, który często zaprasza do siebie kolegów na herbatki. Zabawiają się wesolo i z temperamentem, a chcąc udobroczyć nas, sąsiadów, którym zakłócają sen, pozwalają i nam przyjść i przyglądać się.

Onegdaj ja też skorzystałem z zaproszenia i wszedłem między tańczących i zadowolonych — było ich wielu i wszyscy śmiali się głośno i szczerze, od ucha do ucha, widziałem ich lśniące białe zęby, nie wiem z jakiego powodu się śmiali, śmiali się, bo byli szczęśliwi. I tylko ja jeden byłem ponury jak zła noc, i tylko mnie było ciężko i smutno, ponieważ tylko ja nosiłem ciasne buty, a poza tym byłem zmęczony i bardzo chciałem spać.

Jakże mogłem tańczyć i śmiać się razem z nimi? Oni przecież nie byli zmęczeni, nie wierzyli ich buty..., bo tańczyli boso.

Kiedy zabawa była w pełni, otwarły się drzwi i wszedł ponury człowiek o złym spojrzeniu, rozglądając się spode łba i powiedział:

— Koniec zabawy. Teraz odejdzie, się kontrola. Będę sprawdzał czy każdy gitarzysta ma czystą szję.

Jedna z gitar żałośnie jęknęła. Ponury człowiek podchodził do każdego z nas i sprawdzał. I co po-

Sztudynger umie porwać słuchaczy błyskotliwą improwizacją, która pozwala mu komponować fraszki błyskawicznie, na poczekaniu, w trakcie spotkania, rozmowy, w wiejskiej świetlicy czy miejskim klubie...

W czasie pobytu u mistrza miałem okazję zanotowania kilku takich za improwizowanych ad hoc wierszyków. Oto jeden z nich. Towarzyszyla mi siedmioletnia córka. Pan Jan, traktował pierwszoklasistkę z ogromną powagą, zadawał rozmaite pytania i z miejsca zjednał sobie dziewczynkę kolorowymi bajeczkami wydanymi przez „Naszą Księgarnię”. Kiedy jednak Ewka znużona, przeciągająca się rozmowa dorosłych, zaczęła się zabawiać na swój sposób, skwitował to natychmiastową ripostą:

„Najpierw rozsądnie rozmawia z Panem Potem niemądrze tkwi pod fortepianem”

Na pytanie, w jakich okolicznościach powstają jego fraszki, pan Jan odparł z uśmiechem, że fraszki podobnie, jak ryby, najlepiej biorą nad ranem. Już w nocy podchodzi do spławika, by wczesnym rankiem spłynąć na papier. Jest to jednak dopiero wstępna faza, może najtwardsza, poprzedzająca meczącą obróbkę, dobierania wyrazów, które wydają się najlepsze... Bywają dni, kiedy połów jest obfity, wystarczy „zarzucić sieć”, aby wydobyc zdołanych rozmaitych rozmiarów i gatunków, od najszlachetniejszego ostrąga czy łososa do zwykłych płotek. Bywają też kiepskie połowy. Jak zwykle w życiu. Przy sortowaniu trzeba gorzej gatunki odrzucić, czasem na śmietnik wędruje dziewięć dziesiętnych połowu...

Tematem numer jeden fraszki Sztudyngera jest kobieta. Autor tłumaczy mniej więcej w ten sposób:

— Pyta Pan, dlaczego myśl moja krąży wokół przedstawicielki niekniejszej połowy rodzaju ludzkiego? No cóż, jak wielu moich brać no Adamie, lubię córki Ewy. W jednej z moich fraszek przeprowadziłem nawet pewną klasyfikację...

— Znamy, znamy...

— W domu nazywała mnie motylkiem (jeszcze dzień, jeszcze chwilka i koniec motylka, widocznie pisante

wiele, państwo? Przegrał z krete-sem. Wszyscy wyglądali tak jakby przed chwilą wyszli z kąpiel, a on odszedł zawstydzony i z opuszczoną głową.

Gitarzyści podjęli koncert i grali dalej.

Gitara to piękny instrument, i można na tym instrumentcie zupełnie ładnie zagrać. Oczywiście, jeśli

sie umie. No, a dla tych, którzy nie umieją, mamy pocieszającą miłą wiadomość. Już wkrótce znajdą się w sprzedaży importowane gitary mechaniczne samogrające, na prąd, na baterie i na pedały. Każdy właściciel takiej samogrającej gitary, nawet jeśli będzie głuchy jak pień, potrafi zagrać tak, że wszystkim sąsiadom oko zbieleje.



ZIEMI BIAŁOSTOCKIEJ

ale w czasie działań ostatniej wojny wszystko przepało i trzeba było po wyzwoleniu na nowo zaczynać.

W górnej części obejścia muzealnego znajduje się dział bartnictwa i pszczelnictwa, urządzony i otwarty w 1963 roku. Obok różnej wielkości pni i kłód bartnych oglądamy rozmaite przybory i urządzenia, służące niegdyś tutejszym pszczelarzom w ich pracy związanej z hodowlą pszczoł.

Poniżej skarpy na opadającym coraz niżej brzegu nad Narwią naprzeciw ujścia rzeki Pisy, stoi dziś 5 starych drewnianych budynków przeniesionych tu z okolicznych wsi. Są to dwa domy mieszkalne, spichlerz z podcieniem na słupach, mała stodoła i wiatrak, jest też studnia z żurawiem. W zabudowaniach znajduje się pełne wyposażenie w sprzęt domowy, naczynia i różne ozdoby chaty wiejskiej, narzędzia gospodarskie, warsztaty tkackie, do kręcenia powrozków, ręczny folusz, drewniany kariat.

Z chwilą naszego przybycia ożywiło się to całe muzealne obejście i sąsiedni brzeg Narwi. Wszyscy z zaciekawieniem oglądali każdy

przekazywania dalszych zabytkowych przedmiotów temu muzeum.

Jak wynikało z opowiadań organizatorów i opiekunów muzeum, które znalazło pełne zrozumienie i poparcie władz wojewódzkich i centralnych, chlubią się oni wynikami swej bezinteresownej pracy i pragną w przyszłości uzyskać obszerniejsze pomieszczenie na ciągle powiększające się zbiory kultury materialnej wsi podlaskiej na pograniczu trzech województw: białostockiego, warszawskiego i lubelskiego.

Celem trzeciego i ostatniego dnia naszej konferencji muzealnej była Białowieża, gdzie mieliśmy piękną pogodę i niecodzienną przyjemność podziwiania Białowiejskiego Parku Narodowego i jego Muzeum Przyrodniczo-Leśnego.

Można tu zaryzykować twierdzenie, że sama Puszcza Białowieża jest jednym wielkim, nie łatwym oczywiście do zwiedzenia, muzeum przyrody „in situ” — w jego pierwotnym miejscu — i to nie w stanie martwym, ale pełnym życia, ruchu i różnych niespodzianek, jakie stwarza żywa przyroda w ulegających ciągłym zmianom, warunkach klimatycznych.

dzone Muzeum Przyrodniczo-Leśne, po którym oprowadzał nas, a przy tym bardzo przyjemnie i fachowo objaśniał zbiory, młody kierownik placówki inż. leśnik Czesław Okołów. W muzeum, które też przeszło różne koleje od pierwszych jego początków, datujących się jeszcze przed pierwszą wojną światową, obecna ekspozycja mieści się w 3 dużych salach o łącznej powierzchni około 350 m kw., ale już w ciągu najbliższych lat otrzyma ono nowe pomieszczenie w budującym się wielkim zespole budynków, gdzie powierzchnia muzealna wzrośnie prawie 4-krotnie.

Podziwiamy w muzeum okazy pięknej grupy żubrów, jeleni i sarn, różnego ptactwa, wśród których wielkie zainteresowanie budzi 81 sztuk niezwykłych ptaków — samców, tzw. wojowników w godowym upierzeniu o dwudzielnych czubach na łebkach i szerokich kryzach na piersiach, ale u każdego upierzenie to jest innego kształtu i kolorów. Nie znalazł się jeszcze dotychczas taki znawca ornitolog, który by przedstawił dwa jednakże okazy tych ptaków, a wyznaczona od dawna dla takiego szczęśliwca wysoka nagroda dotychczas nie została zdo-



Tradycją nieledwie się stało pisanie na tym miejscu pozytywnie o działalności Studia 63 w roku minionym. Bo też i piękną robotę tam oglądamy, a sam pomysł poetyckiego przebiegania przez wieki wydaje mi się dostatecznym powodem do entuzjazmu. Zwłaszcza gdy jest realizowany z całym pietyzmem, konsekwentnie oraz z wyraźnymi próbami poszukiwań nowatorskich w zakresie formy widowiska. Ostatnie, w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, zatytułowane „Listy do Delfiny” było drugą po Mickiewiczzie penetracją idealów romantycznych, pokazywało wieszczą tyleż trudnego, co kontrowersyjnego w odbiorze, postać obrośniętą w mity nieporozumień, wyalienowaną, by tak rzec, ze spraw i problemów postępowych, jakimi oddychała Wielka Emigracja.

I dobrze, bardzo dobrze się stało, że nie dał nam Hanuszkiewicz „Irydion” czy „Nieboskiej”, ale sięgnął po listy, które zawsze są kluczem do tajemnych rozgrywek duszy i rozumu twórcy, które przy tym tłumaczą mity, albo niszczą legendy i odautorskim komentarzem eksplikują postawy. Te garście wyznań, rzucane pod stopy Delfiny Potockiej — to nie tylko piękna erotyka zamknięta w literaturze epistolarnej, ale pretekst do pokazania epoki i społeczności, w jakiej żył Krasieński. Sposób na tłumaczenie sądów o nich obywateli; sądów płynących z duszy i przekonania. Sądów często nam obcych. Sądów błędnych, za to tym lepiej wyjaśniających obscość trzeciego wieszczą wobec idealów społecznych Romantyzmu.

Krasieńskiego tworzył Holoubek. Tworzył go w powolnym procesie obnażania wątpliwości, budował te rozmowy z duszą jego duszy, czyli Delfiną, od rozlewnej miłości poprzez zwątpienia i niecierpliwość, budował wizerunek człowieka samotnego, który z jednakową wagą odnosi się do oplecienia butelki z

werbeną w podróży, jak do całego tego uczucia, o którym później powie, że zmarnowało się, bo skierował je do bezdusznej kukły. A przy tym ileż ważkich dygresji politycznych, jak choćby ów słynny list zaczynający się od wyrażenia niepokoju o ojca, który jest czymś więcej jak wyznanie miłości do rodzica, w którym przede wszystkim zamknął swoje niezrozumienie dla ruchów wolnościowych, swoje rozczarowanie wewnętrzne. Ten dziewięćdziesięcioletni okres, gdzie daty mówią o wydarzeniach, wstrząsających Europą (1839—48) był chyba znakomitą wyborem Hanuszkiewicza.

O tym, że Holoubek przytoczył swoją osobowością pozostałych dwóch wykonawców: tegoż Hanuszkiewicza i Śląską — Telimeny. Była najsłabsza, bezbarwna, monotonna w tym swoim zaśpiewie końcowej frazy, co tu dozwolona umiejętnie i z przemyśleniem czyniła do tej pory z aktorki zjawisko oryginalne. Jak gdyby rzekła się rywalizacji z Holoubkiem i przez przypadek zapewne tym tragiczniej brzmiała wyznania Krasieńskiego, tym ostrzej narzucały pamięć o finale tej namietności i niezwykłej osobowości poety.

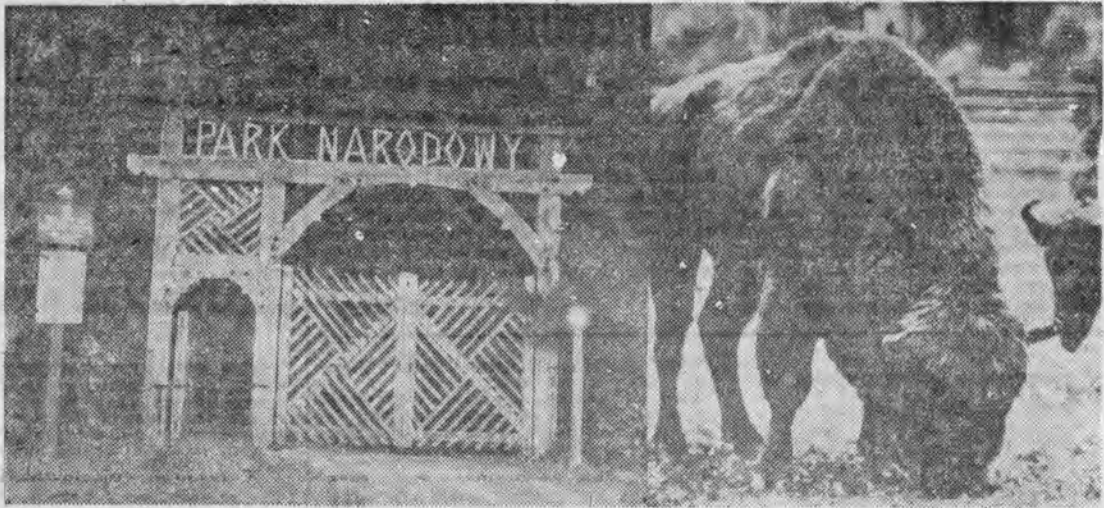
Piszę o Studiu 63 — ale jest to przecież jedna z naprawdę nielicznych form w telewizji, idealnie łącząca walory artystyczne z zaletami oświatowymi; w roku bieżącym ponadto z ideą niebanalnie świeżych obchodów tysiąclecia kultury polskiej.

Innym pomysłem, prostszym w koncepcji i uzależnionym od wykonawców, jest cykl „Stare życiorysy”, z których ów o Janie Potockim wydał mi się nader ciekawy. Aleksander Malachowski przeprowadził bowiem swoją gawędę historyczną o pisarzu, krytyku, awanturniku i naukowcu z inwencją i potrzebną tu swadą, ilustrował ją nie tylko faktami, ale i anegdotą, dementował plotkę, rozporządzał materiałem fotograficznym, słowem — słuchało się o tej „renesansowej” postaci autora „Parad” z prawdziwą przyjemnością.

Pozostał mi jeszcze z rzeczy ładnych do omówienia „Zeglarz” Szaniawskiego w reżyserii Stowińskiego, z jedną znakomitą kreacją Jacka Woszczerowicza i jedną piękną rolą Jerzego Kowalskiego. Tak się składa, że o Szaniawskim w telewizji pisać dobrze można nieskończennie. Wydaje mi się, że właśnie ten mistrz aluzji, niedomówienia, smuteczków i gorzkiej zadumy nad człowiekiem swój teatr pół-ludzi a pół-symboli tworzył jakby z myślą o małym ekranie; o widzu, który w samotności i własnego pokoju ma czas i spokój do zadumań nad filozofią świata nie tyle realnego, co twórczego w imię racji idei i za pomocą psychologicznej przesłanki. Trochę teatr cieni, dużo — teatr prawdy o ludziach.

I na zakończenie — rzecz może mniej ładna w treści, za to coraz żywiej i lepiej realizowana przez twórców — miesięcznik konsumenta w Łodzi — „Próby”. Robią go dzienni karze lódcy na zasadzie żywej książki życzeń i zażaleń, coraz bardziej skłaniają się ku społecznej publicystyce, coraz ostrzej wyszukując nasze codzienne sprawy, co trapią i utrudniają. Forma reportażu, ustnej relacji, nie reżyserowanej, autentycznej, dynamizmu audycji — oto cechy „Prób” pozytywnie brzmiały w powodzi nie udanych programów publicystycznych, z których jeden z ubiegłego tygodnia, zatytułowany „Złote Piaski nad Bałtykiem”? był szczególnie nudną, niekończącą się serią rozmów na sopockim moście, bezładu i składu informacyjnego chładek w takt złej fonii, lejących się strug deszczu, całej sztucznej scenarii rozmokłego pleneru. Takie programy przyprawiają o dreszcz zdenerwowania i podważają wiarę, że w publicystyce w ogóle może być lepiej...

KRYSTYNA



Wejście do Białowiejskiego Parku Narodowego i żubry.

obiekt i cały widok fragmentu dawnej wsi Kurpiów, mieszkańców tego regionu. Zjawili się też wnet i oni sami, przebrani w stroje ludowe, chłopcy i dziewczęta, kapela ludowa zaczęła przygrywać, a stary miejscowy gawędziarz opowiadał zainteresowanym różne historie z życia tutejszych ludzi. Nie brakło też miejscowego wyrobu miodownika i piwa jałowcowego. Przyjemnie i wesoło mijał czas na oglądaniu tej, jak by z bajki wyczarowanej przeszłości, gdy nadszedł czas odjazdu.

Z Nowogrodu udaliśmy się do pobliskiego miasta powiatowego, Łomży. Tu zwiedziliśmy muzeum regionalne, którego inicjatorem był również Adam Chętnik. Muzeum mieści się w 5 pokojach Powiatowego Domu Kultury. Wśród wyeksponowanych zbiorów z zakresu etnografii, historii, geologii i przyrody regionu bardzo interesująco i bogato przedstawia się kolekcja ozdób i wyrobów z bursztynu, wydobywanego niegdyś w tych stronach.

Po zwiedzeniu jeszcze samego miasta Łomży udaliśmy się do Ciechanowca, gdzie znowu po 2 godzinach podróży mieliśmy sposobność oglądać w tym małym miasteczku na Podlasiu społeczne Muzeum Rolnictwa imienia Krzysztofa Kluka, działającego tu w XVIII wieku, w okresie Oświecenia, miejscowego proboszcza, postępowego jak na ówczesne czasy badacza przyrody i autora wydanych kilkunastu tomów prac z dziedziny nauk przyrodniczych i rolnictwa.

Muzeum to powstało w latach 1963—1964 z inicjatywy członków Towarzystwa Miłośników Ciechanowca i mieści się obecnie w jednej dużej sali. Trzeba przyznać, że zabiegi i starania kilku społecznych działaczy oraz młodzieży szkolnej, ich inicjatywa i wytrwała penetracja terenu, dały piękne wyniki. Zgromadzili oni około tysiąca różnych starych narzędzi rolniczych, dziś nie używanych, sprzętu gospodarstwa domowego, urządzeń obróbki lnu i konopi, a także materiały do historii Ciechanowca oraz pamiatki i dzieła, pozostałe po Krzysztofie Kluku. Każdy eksponat został starannie zinwentaryzowany i zaopatrzonej w czytelną metryczkę z nazwiskiem ofiarodawcy, co na pewno zachęca zwiedzających do

Wiele również można by powiedzieć na temat zwiedzenia parku botanicznego, dostępnych miejsc w samej Puszczy czy pokazowego rezerwatu żubrów. Niełatwo jest odpaść w słowach tę szeroką skalę barw i widoków, czy też dźwiękowe wrażenia różnych głosów i tonów żyjącego tu świata bezpośrednio nieznanymi nam stworzeń.

Zbliżyło nas dopiero do tego świata nadzwyczaj starannie urzą-

byta. Wiele ciekawych informacji z zainteresowaniem i w pogodnym nastroju słuchaliśmy od oprowadzających nas w Białowieży uprzejmych przewodników-fachowców.

Wniosek stąd, że nawet dla nas, wieloletnich pracowników muzealnych może być jeszcze w naszych muzeach, jak zresztą w ogóle w tym najpiękniejszym ze światów, w którym żyjemy, zawsze coś nowego i interesującego.

POLSKIE GOBELINY NA WYSTAWIE W MOSKWIE

W Muzeum im. Puszkina w Moskwie czynna była wystawa gobelinów warszawskiej plastyczki Tamary Hans, pierwsza ekspozycja polskiej tkaniny artystycznej w ZSRR. Wystawa wzbudziła duże zainteresowanie nie tylko środowiska artystycznego stolicy ZSRR, ale także szerokiej publiczności. Tamara Hans prezentuje na wystawie kilkanaście gobelinów o tematyce opartej na motywach polskich, jak też inspirowanej jej podróżą do Afryki.

Prasa moskiewska zamieściła szereg pochlebnych recenzji i informacji poświęconych wystawie. W drugiej połowie czerwca wystawa przeniesiona została do leningradzkiego Ermitażu. Świadczy to o dużym wyróżnieniu polskiej artystki.

WYKŁADY POLSKICH UCZONYCH W RZYMIE

Na zorganizowanym przez włoski ośrodek UNESCO w Rzymie kilkunastym kursie dla architektów i konserwatorów zabytków, prowadzili wykłady — dziekan Politechniki Warszawskiej prof. dr Piotr Biegański i dyrektor Państwowego Muzeum Archeologicznego prof. dr Zdzisław Rajewski. Prof. Biegański mówił o konserwacji i prezentacji relikwii architektury murywanej, a prof. Rajewski — o archeologicznych rezerwach muzealnych i ekspozycji zabytków w terenie.

„SYBENA W DECIARU” PO ROSYJSKU

Dużym nowodzeniem cieszy się wydany w Związku Radzieckim zbiór felietonów Wiecha „Sybena w deciaru”. Książka opublikowała wydawnictwo „PROGRESS” w przekładzie i z przedmową znanego satyryka Nauma Łabkowskiego.

JOLANTA UMECKA W FILMIE UHERA

Znany reżyser słowacki Stefan Iľber („Słońce w sieci”, „Organy”) przystę-

puje do nakręcania filmu pt. „Dziwna dziewczyna”, opartego na opowiadaniu Dominika Tatarski. Akcja utworu rozgrywa się bezpośrednio po wojnie w środowisku artystycznym na Słowacji. Główną rolę kobiecą Uher powierzył polskiej aktorce Jolancie Umeckiej.

POLONICA KULTURALNE

WYSTAWA PLAKATU POLSKIEGO W OBERHAUSEN

W Oberhausen otwarto wystawę plakatów polskiego o tematyce społecznej. Ekspozycja obejmuje ok. 80 prac dotyczących takich problemów, jak bezpieczeństwo pracy, walka z alkoholizmem, działalność Czerwonego Krzyża, ochrona zdrowia i walka z pożarami. Prasa Zagłębia Ruhry poświęciła ekspozycji wiele pochlebnych recenzji.

„ASTRONAUT” LEMA PO RAZ TRZECI W CZECHOSŁOWACJI

Jedną z najbardziej popularnych książek wśród młodzieży czechosłowackiej jest powieść Stanisława Lema „Astronaut”. Obecnie nakładem „Państwowego Wydawnictwa dla Dzieci” ukazało się trzecie wydanie tej powieści. Autorem przekładu na język czeski jest Jarostaw Simonides. Ilustrował — Teodor Rotrekl.

POLSKA WYSTAWA W RZYMIE

W salonach wystawowych Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej w Rzymie otwarto ostatnio ekspozycję prac artystki z Warszawy — Bimali Horskowej-Zborowskiej. Autorka — malarzka i graficzka — zaprezentowała na wystawie serię pejzaży, pozytywnie ocenionych przez krytyków i artystów obecnych na wernisżu.

WARTO DODAĆ, ŻE W CZERWCU 1964 R. OBRAZY ARTYSTKI SPOTKAŁY SIĘ Z DUŻYM UZNANIEM NA DOROCZNEJ WYSTAWIE RZYMSKIEJ NA VIA MARGUTTA. B. HORSKOWA-ZBOROWSKA OTRZYMAŁA WÓWczas jedno z kilkunastu wyróżnień przyznanych przez władze miejskie Rzymu i jury za najlepsze prace. Również i w tym roku artystka wystawiła swoje obrazy na Via Margutta.

SLUCHOWISKO AUTORA POLSKIEGO W RADIU NER

W programie radia Bremen nadane zostało słuchowisko Tymoteusza Karpowicza pt. „Czterech stróżów nocnych”.

ARTYKUŁ ZYGMUNTA MYCIELSKIEGO W MIESIĘCZNIKU „SOWIETSKAJA MUZYKA”

Najnowszy numer miesięcznika „Sowietskaja Muzyka” przynosi w rubryce „Za granicą” artykuł znanego polskiego kompozytora i krytyka muzycznego Zygmunta Mycielskiego pt. „Po IX Warszawskiej Jesieni”.

MEDALE GOROLA NA WYSTAWIE W BERLINIE

Prace znanego artysty rzeźbiarza Edwarda Gorola, specjalisty w dziedzinie sztuki medalierskiej, pokazane zostały ostatnio na wystawie w Ośrodku Kultury Polskiej w stolicy NRD. Wystawa prac E. Gorola jest jedną z ekspozycji urządzonych w tym kraju z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego.

„REKONIS ZNALEZIONY W SARAGOSSII” W BELGIJSKIEJ TV

Telewizja belgijska nadała ostatnio w swym programie film fabularny reż. Wojciecha Hesa „Rekonis znaleziony w Saragoście”, oparty na powieści Jana Potockiego.

Na naszych ekranach

CLAUDIA CARDINALE

Ta dziewczyna o ciemnych włosach i oliwkowej cerze ma za sobą więcej filmów niż lat. W ciągu krótkiego czasu zrobiła karierę, o jakiej nie marzyła i jakiej nawet nie chciała.



Claudia Cardinale i Federico Fellini podczas realizacji filmu „Osiem i pół”.

Tak jest — nie chciała. Po pierwszych próbach filmowych Claudia Cardinale uciekała do rodzicielskiego domu i niełatwo dała się namówić do powrotu. Na szczęście dla licznych kinomanów (i kinomanek także, Claudia bowiem w odróżnieniu od wielu innych gwiazd cieszy się sympatią pań) — wróciła.

Urodziła się w 1939 roku w Tunisie w rodzinie kolejarzkiej. Jej ojciec był Francuzem, matka Włoszką. Dzieciństwo spędziła na Sycylii, gdzie uczęszczała do szkoły. Zamierzała zostać nauczycielką i zamieszkania te zostały jej do dziś. Niedawno jedna ze szkół rzymskich umożliwiła jej przeprowadzenie lekcji, w którejś z klas i aktorka całą godzinę zastępowała nauczycielkę, fascynując dzieci, które jej nie poznały. Claudia była zachwycona tą rolą i upewniła się, że dawne dziecięce marzenia opierały się jednak o jakieś zdolności pedagogiczne.

Początki jej aktorskiej kariery były typowe dla Włoch, gdzie dziewczęta dostają się na ekrany głównie poprzez konkursy piękności. Tak było z Zofią Loren, tak było z Giną Lollobrigidą i innymi. Claudia 9 lat temu zdobyła I miejsce we współzawodnictwie o tytuł miss Sycylii. Nagrodą był wyjazd na festiwal do Wenecji. 18-letnia dziewczyna, podpora miejscowej drużyny koszykówki, była tym zachwycona, ale ani przez moment nie myślała, że wyjazd ten zmieni dalszy bieg jej życia.

Ktoś zauważył gdzieś jej wyróżniającą się twarz na kronice filmowej, ktoś zrobił jej zdjęcie i sprzedał francuskiemu czasopiśmie ilustrowanemu „Paris Match”, które ozdobiło nim okładkę.

Jedną z włoskich wytwórni proponuje jej pokrycie kosztów studiów w słynnej rzymskiej szkole filmowej Centro Sperimentale di Cinematografia. Claudia próbuje, ale po trzech miesiącach ucieka do domu — „Nie będę aktorką. Ta praca zupełnie mi nie odpowiada” — mówi.

Filmowcy byli jednak uparci. Udało im się nakłonić dziewczynę do podpisania kontraktu i wystąpienia przed kamerą. Claudia gra w filmie Cavalcantiego „La prima notte”, a następnie w „La Viaccia”. Krytyk paryskiego „L'Express” pisał po obejrzeniu tego filmu: „Wielka aktorka? Może jeszcze nie. Ale za glicerynowymi łzami jaka twarz, jaka karnacja, jaka przyszłość!”

Nie omylił się recenzent w tym wykrzykniku. Claudia zaczyna krę-

cić film po filmie i to z najbardziej utalentowanymi, znakomitymi reżyserami włoskimi. Cavalcanti, Comencini, Visconti, Fellini, Germi — to przecież reżyserzy należący do czołówki nie tylko włoskiej, ale i światowej. „W ślepej uliczce”, „Piękny Antonio”, „Człowiek z za biurką”, „Następcy tronów”, „Rocco i jego bracia”, „Cartouche — zbójca”, „Syn marnotrawny”, „Szczęśliwy rogacz”, „Lampart”, „Osiem i pół” — oto niektóre tytuły spośród trzydziestu filmów, w jakich wystąpiła w ciągu zaledwie 9 lat. Ostatnim jest „Jego dziewczyna”, który — i swoją rolę w nim — aktorka ceni najbardziej i nie bez słuszności. Widz, który śledził jej postępy na ekranie może patrząc na ten film stwierdzić, że ta młoda, południowa dziewczyna przeistoczyła się rzeczywistość z lansowanej przez prasę gwiazdki o leniwej, ociężałej urodzie w aktorkę z prawdziwego zdarzenia. Jest w tym niewątpliwie zasługa reżyserów, wybitnych mistrzów sztuki filmowej, ale jest to także wynik rzetelnej pracy i wysiłku samej aktorki, występującej w najbardziej różnorodnych rolach.

W czym tkwi tajemnica jej popularności? Prasa, nazywająca ją skróttem CC, tak jak to czyniła poprzednio z Brigitte Bardot, Marilyn Monroe i Doris Day, pisze o niej sporo, ale bez sensacji. Claudia nie stygnie z towarzyskich skandali czy oszalałymi romansami, nie dostarcza satysfakcji osławionym paparazzi — fotoreporterom brukowych pism. Jej życie osobiste otoczone jest tajemnicą. Uroda? Przecież nie jest skończoną pięknością i sama o tym mówiła w słynnym wywiadzie udzielonym wybitnemu pisarzowi Alberto Moravii. Nie ma tak subtelnych rysów twarzy, jak Lucia Bose, Antonella Lualdi, trudno byłoby mówić o zwiewności jej figury. Na czym więc polega jej wdzięk? Czyżby na jakimś wewnętrznym spokoju, serdeczności, bezpośredniości a zarazem tryskającym z niej zdrowiu i radości życia? Chyba tak, jeżeli dodamy do tego jej wielkie ciemne oczy i wspaniałe uśmiech z za zdrowych, lśniących białych zębów.

CC osiągnęła wielki sukces: podobna się nie tylko mężczyznom; także kobiety, tak zazdrosne i złośliwe wobec innych aktorek, mówią o niej z sympatią. Może jest do nich bardziej podobna niż wszystkie tamte szczuplutkie, ośniewające gwiazdki? Może jest najbliższa ucieleśnieniu ich ideału?

(w. s.)



„MYŚLI NIEUCZESANE” — PURYTANIN POWINIEN MIEĆ DWA LISTKI FIGOWE NA OCZACH
Fotomontaż — M. BERMAN



TADEUSZ SOKÓL — literat i publicysta
RYS. J. SIENKIEWICZ

DWA PROGRAMY NA JEDNYM EKRANIE TELEWIZYJNYM

Po trzyletnich pracach, jeden z nowozelandzkich wynalazców uzyskał patent na opracowany przez siebie oryginalny odbiornik telewizyjny. Nowy telewizor pozwala na odbiór dwu programów na jednym ekranie.

Aby oglądać interesujący ich program — telewizorzyście muszą siedzieć w pewnej odległości od siebie z lewej i prawej strony — pod pewnym kątem do centralnej osi odbiornika. Aparat wyposażony jest właściwie w dwa ekrany, jak gdyby nałożone na siebie,

przy czym ich jednoczesna praca nie przeszkadza widzowi.

Impulsy obrazu dwu programów płyną równocześnie z nadajnika telewizyjnego a ich podział następuje w samym odbiorniku. Dźwięki docierają również „pomieszane” do odbiornika, gdzie się rozdzielają. W czasie jednoczesnego odbioru dwu programów jeden kanał dźwięku podłączony jest do głośnika, drugi zaś — do słuchawek.

(Kt-PAP)



WŁADYSŁAW TRZASKA, GRZEGORZ FEDOROWSKI: Nim zapadnie wyrok. W-wa 1966, MON, s. 200, cena zł 13.

Książka oparta na osobistych wspomnieniach oficera służby kryminalnej MO. Złożona z 24 rozdziałów, z których każdy stanowi odrębne opowiadanie, zapoznaje z różnymi typami przestępstw i niełatwą pracą aparatu śledczego. Epizody pełne dramatycznego napięcia zapewniają pasjonującą lekturę. Książka spełnia zarazem rolę pedagogiczną, ucząc, że nie ma takiego przestępstwa, które by — przy obecnej sprawności MO — nie zostało wcześniej czy później wykryte.

IVAN KLIMA: Godzina ciszy. W-wa 1966, KIW, s. 318, cena zł 24.

Powieść jednego z ciekawszych współczesnych pisarzy czechosłowackich. Opisuje w niej autor pracę nad ujarzmieniem rzeki sprowadzającej rokrocznie powodzie. Atakuje wielki temat naszych czasów, konflikty między starym a nowym, zostawiając wiele spraw otwartych.

WALDEMAR BABINICZ: Ludzie to powiedzieli. Lublin 1966. Wyd. Lubelskie, s. 171, cena 12 zł.

Pięć opowiadań znanego pisarza — pu blicysty, działacza społecznego, dyrektora UL w Rożnicy, traktujących o naszej współczesności. O młodzieży, wsi, miasteczku.

W SALONACH WYSTAWOWYCH KRAJU

NOWE WYSTAWY WARSZAWSKIE

W Domu Artysty Plastyka w Warszawie czynna jest wystawa obrazów znanego malarza i grafika Henryka Musiałowicza. Ekspozycja obejmuje 50 prac z cyklu „Pejzaż” i „Portrety z wyobraźni”.

Architektura i zakątki francuskich miast a także charakterystyczne sylwetki ich mieszkańców, są tematem 50 rysunków Stanisława Soszyńskiego wystawionych w Klubie MPiK. Jest to artystyczne pokłosie służbowych wyjazdów do Francji autora — 35-letniego warszawskiego artysty plastyka, projektanta form przemysłowych.

30 prac graficznych składa się na wystawę prac Mieczysława Majewskiego w warszawskiej „Kordegardzie”. W pa-

cyku Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych prezentuje swoje obrazy Piotr Firlej.

Jak co roku, w pracowniach warszawskiej ASP czynna jest w czerwcu wielka wystawa prac studentów tej uczelni.

MATEJKOWSKI „GRUNWALD” GOŚCI W POZNANIU

Po raz pierwszy społeczeństwo poznańskie może oglądać w swoim mieście arcydzieło polskiego malarstwa — „Bitwę pod Grunwaldem” Matejki. Dzieło jest jednym z eksponatów otwartej ostatnio w Muzeum Narodowym w Poznaniu wystawy naszego malarstwa historycznego. Ekspozycja obejmuje obrazy Suchobolskiego, Gersona, Brandta, Kapińskiego, Rodakowskiego i dzieła innych autorów, które przypominają tradycje oręża polskiego i najważniejsze wydarzenia w naszej tysiącletniej historii.

PLAKATY W KATOWICACH

150 prac 50 śląskich artystów w Katowicach wystawa plakatów urządzona z okazji 10-lecia Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego. Oprócz plakatów prezentowane są na wystawie różne wydawnictwa reklamowe. Bilans dwudziestolecia tej placówki wynosi blisko 3 tys. pozycji wydanych w nakładzie ponad 415 mln egzemplarzy.

MALARSTWO I TKANINY GRZYCHOWSKIEJ

Również w Katowicach swoje obrazy i tkaniny dekoracyjne prezentuje Maria Helena Grychowska. Artystka, rodem z Zakopanego, od 1945 r. mieszka na Śląsku. W jej dorobku artystycznym znajdują się m. in. tkaniny zdobiące wnętrza szkoły w Czeladzi — pierwszej w kraju „Tysiąclatki”.

W POZNAŃSKIM „ARSENALU”

21 malarzy okręgu poznańskiego ZPAP wystawia w „Arsenale” ponad 80 rysunków i prac graficznych. Wśród autorów znajdują się: Berdyszak i Twardowski, Michałowska, Rybarczyk i Skupin. W salonie Klubu MPiK czynna jest ekspozycja akwareli i ceramiki Janusza Bersza.

(Kt-PAP)